



Andrzej Krynicki
1930 - 2005

Autor: Marek Grausz afrp



Andrzeja Krynickiego i jego twórczość znają wszyscy parający się fotografią artystyczną, a przynajmniej znać powinni.

Pozwolę sobie tutaj przytoczyć trochę faktów z życia Andrzeja oraz osobistych wspomnień i refleksji.

Urodził się 12 marca 1930r. w Tarnowie. Maturę zdał w 1949r. w Krakowie. W latach 1949 – 1960 studiował na Politechnice w Krakowie i Wrocławiu z przerwą w latach 1950 – 1956 spowodowaną 2,5 letnim wyrokiem więzienia za przynależność do organizacji Wolność i Niepodległość. Wyrok odsiadywał na Montelupich w Krakowie, we Wronkach pod Poznaniem oraz w obozie pracy w Strzegomiu (praca w kamieniołomie).

W latach 1960-1969 projektował neony w Krakowie i Warszawie.

W 1964r. po otrzymaniu Złotego Trofeum w Hong Kongu na poważnie zajął się fotografią.

Ponad 40 lat pracował w Telewizji Polskiej w Warszawie projektując czołówki wielu programów. Uczestniczył w ponad 2000 wystawach na całym świecie, gdzie otrzymał ponad 2500 nagród. Był członkiem wielu światowych stowarzyszeń fotograficznych.

Nigdy nie był członkiem ZPAF. Z pewnością by był członkiem FOTOKLUBU, ale niestety nie zdążył. Zmarł 24 maja 2005r., gdy organizowano Fotoklub R.P.

Z Andrzejem poznaliśmy się osobiście na początku lat 80-tych w Książu. Zналиśmy się z literatury i czasopism. W Książu Andrzej był na plenerze aktu, ja w tym samym czasie prowadziłem zajęcia dla uczestników warsztatów fotograficznych Wojewódzkiego Domu Kultury z Radomia. Pewnego dnia, trafiłem na człowieka taplającego modelkę aktową w resztkach wody i błota na dnie starego zbiornika p-poż. Stał do mnie tyłem, więc nie wiedziałem kto to jest. Grzecznie przeprosiłem, że przeszkadzam. Andrzej się odwrócił mówiąc „a nic nie szkodzi”. Ja patrzę przecież to Krynicki, a nagle słyszę „ty jesteś ten Grausz?”, ja odpowiadam „tak, a Ty na bank Krynicki”. Tak się zaczęła nasza wieloletnia przyjaźń.

Od tego momentu spotykaliśmy się bardzo często. Ja organizowałem kilkudniowe plenery aktowe dla przyjaciół z taką samą ilością modelek co fotografików. Na zamku w Golubiu-Dobrzyniu ówczesny Kasztelan Zygmunt Kwiatkowski oddał do naszej dyspozycji cały zamek. Był pałac w Starej Wsi koło Węgrowa, Skansen w Sierpcu, parostatek Kiliński na Drwęcy w Złotorii koło Torunia i inne. Na Kilińskim mieliśmy jedną z wielu przygód. Otóż Andrzej zszedł ze statku z modelką i poszedł na pobliską łąkę robić zdjęcia. Długo nie porobił, gdy z pobliskiego gospodarstwa wypadł rolnik z widłami robiąc karczemną awanturę. Andrzejowi bardzo ten plan pasował, no i trzeba było jakoś załagodzić sytuację z rolnikiem, bo to był pierwszy dzień pleneru. Wziąłem

opakowanie napoju wysokoprocentowego i udałem się z przeprosinami do gospodarza. Zaprosił do domu i zasiedliśmy do stołu, ale on nadal się pieklił i nie docierały do niego żadne argumenty (jak się później dowiedzieliśmy, był to znany miejscowy awanturnik). Po chwili gospodyni podała na stół ciepłą jeszcze drożdżówkę. Natychmiast zmieniłem temat rozmowy doceniając wysoki kunszt kulinarny gospodyni. Wymieniliśmy doświadczenia w pieczeniu ciast i nagle gospodarz dostał burę od żony, „że co mu to przeszkadza, że żadnych strat nie robią i niech tylko jeszcze raz podgląda jak pracujemy, to mu pokaże”. Wróciłem na statek i mówię „Krynicki łąka jest twoja”. Następnego dnia o świcie słyszę skrzypienie trapu i jakiś rumor na pokładzie. Wychodzę, a tu znajomy gospodarz z konwią mleka mówiący: „przyniosłem Wam mleka z porannego udoju, bo mieliście wczoraj imprezę, to może się przyda”.

W latach 90-tych organizowałem plenery fotograficzne i warsztaty dla młodzieży, finansowane w całości przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu, gdzie Andrzej był wykładowcą. Bazą był Pensjonat „JAGÓDKA” w Górznie. Spędzaliśmy tam co roku cały lipiec i dwa tygodnie jesienią. Młodzież była zachwycona, mając możliwość nauki i pracy w ciemni oraz z modelkami, z takim mistrzem jak Andrzej. On z kolei jak prawdziwy mistrz rozpoczynał od zaprezentowania tego, co sam robi, czyli swoich zdjęć. Właśnie takim wykładem rozpoczął warsztaty dla młodzieży (jednym z tematów był akt). Zakończył wykład przed kolacją. Po kolacji młodzi ludzie zapytali, czy mogą zadać jeszcze kilka pytań dotyczących obróbki fotochemicznej. Andrzej ponownie zabrał wszystkie swoje prace na salę wykładową i analizował dokładnie każde swoje zdjęcie. Skończyli to spotkanie przed śniadaniem dnia następnego. Taki był z niego pasjonat tworzenia i chęci przekazania swojej wiedzy. Młodzi ludzie cały dzień fotografowali i spędzali w ciemni, a po kolacji prezentowali swoje prace wykładowcom do korekty.

Mało kto jednak znał Andrzeja jako zapalonego grzybiarza. Górznieńskie plenery i warsztaty odbywały się na terenie Górznieńsko - Lidzbarskiego Parku Krajobrazowego obfitującego w różnego rodzaju grzyby. Każde wyjście Andrzeja w teren, czy wyjazd ze mną samochodem połączone były obowiązkowo ze zbieraniem grzybów. Były momenty, gdzie ja już miałem koszmary senne, bo cały czas zbierałem grzyby. Andrzej zbierał grzyby i suszył. Jednego dnia wybraliśmy się moim VW Transporterem nad jezioro Wądzewnia, gdzie w poprzednim sezonie na jednym ze zboczy robiony był wyrąb drzew. Gdy dojeżdżaliśmy, przez wysokie drzewa dostrzegliśmy jakąś białą poświatę. Wyglądało to, jak zbocze pokryte śniegiem. Gdy dojechaliśmy okazało się, że cały ten teren porastają grzyby kania. Rozpoczęliśmy zbiór, a raczej żniwa. Załadowaliśmy całego transportera. Ani jeden grzyb nie umknął Andrzejowi. Trwało to kilka godzin. Gdy skończyliśmy i wsiedliśmy do

samochodu Andrzej rzucił tekst „wiesz szkoda, że przed zbieraniem żadnej foty nie zrobiliśmy, bo to było zjawisko”. Po powrocie do pensjonatu, uczestnicy pleneru rozładowywali samochód, takimi ocynkowanymi wannami. Tradycyjnej kolacji już nie było. Tak długo jedliśmy grzyby, aż w magazynie skończył się olej i jajka. Resztę grzybów panie kucharki zabrały do domów.

Andrzej potrafił wypatrzeć grzyba z okien samochodu i wtedy zaplanowaną trasę robiliśmy 10 razy dłużej, bo trzeba było te grzyby pozbiierać.

Bardzo szybko zakupiłem tam nieruchomość do remontu, w środku lasu, 10 km od pensjonatu w Górznie. I tu następują kolejne odsłony wizerunku Krynickiego. Fachowcy remontowali dom, a my z Andrzejem dowoziliśmy od czasu do czasu materiały budowlane. Wielki mistrz fotografii nosił cegły, worki z cementem i wapnem. Szło mu to bardzo sprawnie, ja nie dawałem rady tak pracować, i przy tej okazji Andrzej wygadał się o swoim „doświadczeniu” z wyrokiem w kamieniołomach. Andrzej moje gospodarstwo nazwał „Rancho” i nawet zaplanował wykonanie takiego szyldu nad wjazdem. Na rancho była starsza Pani gospodyni, która gdy tylko się pojawialiśmy już szykowała coś do jedzenia, bo przecież my z „podróży” (10 km). A co do jedzenia, oczywiście grzyby z jajkami, w zależności od sezonu. Gospodyni wygadała się, że za grzybami, to ona tak nie jest, ale za ryby, to wszystko odda. Andrzejowi nie trzeba było dwa razy mówić. Gdy tylko na naszej drodze pojawiały się jakieś stawy hodowlane, to padało hasło „zatrzymaj się, trzeba kupić ryby dla gospodyni”. Oczywiście, jak łatwo się domyślić, był on ulubionym gościem, a nawet można powiedzieć domownikiem na rancho.

Bardzo ważnymi postaciami w życiu Andrzeja, była żona Jolanta i syn Marcin. Ze względu na to, że Andrzej nie prowadził samochodu, żona przywoziła go z modelkami na plan zdjęciowy, a następnie odbierała. To samo było z plenerami i warsztatami. Była prawdziwym dobrym duchem twórczości Andrzeja i wspierała go na każdym kroku. Ale bywało i tak, że się nam obu nie źle oberwało. Po jednej serii imprez w Górznie, trwających 5 tygodni, żona przyjechała po Andrzeja. Gdy nas zobaczyła usłyszeliśmy „a co wy z tymi łbami swoimi porobiliście?”. Sprawa polegała na tym, że Andrzej jak przyjechał na plener był kompletnie siwy, a ja byłem brunetem. Po 5 tygodniach zobaczyła dwóch blondynów, Andrzej jaśniejszy, ja ciemniejszy z pasemkami. Była przekonana, że ufarbowaliśmy sobie włosy. Andrzejowi one zżółkły, a mnie spłowiały. Było to spowodowane pięcioma tygodniami spędzonymi na słońcu. Nie bardzo chciała w to uwierzyć, ale taka była prawda.

Aktualnie tradycje fotograficzne Andrzeja kontynuuje jego syn Marcin, którego namawiam, aby napisał dla nas coś o ojcu. Takie wspomnienia z lat swojej młodości. Z czym mu się zawsze będzie kojarzył jego ojciec, mistrz

fotografii. Marcin na to rzucił mi tekst: „to co, mam Ci napisać, że zawsze jak wlałem do wanny, to waliło utrwalaczem?”. I właśnie o takie materiały nam chodzi, a nie notki encyklopedyczne. Myślę, że Marcin da się przekonać i coś dla nas napisze.

W uzupełnieniu dodam, że swoją ciemnię Andrzej miał w jednym z pokoi swojego mieszkania w bloku, a płukanie odbywało się oczywiście w łazience. Nie używał zegara do powiększalnika. Prawie wszystkie swoje odbitki naświetlał z użyciem maskowania ręcznego dłońmi. Fotografował tylko aparatami średnio i małoobrazkowymi japońskiej firmy Pentax. Taki to był Mistrz.

Poniżej prezentuję trochę prac Andrzeja Krynickiego. Aktualnie pracujemy nad jego wystawą retrospektywną, którą planujemy zorganizować w 2016r. w Toruniu.

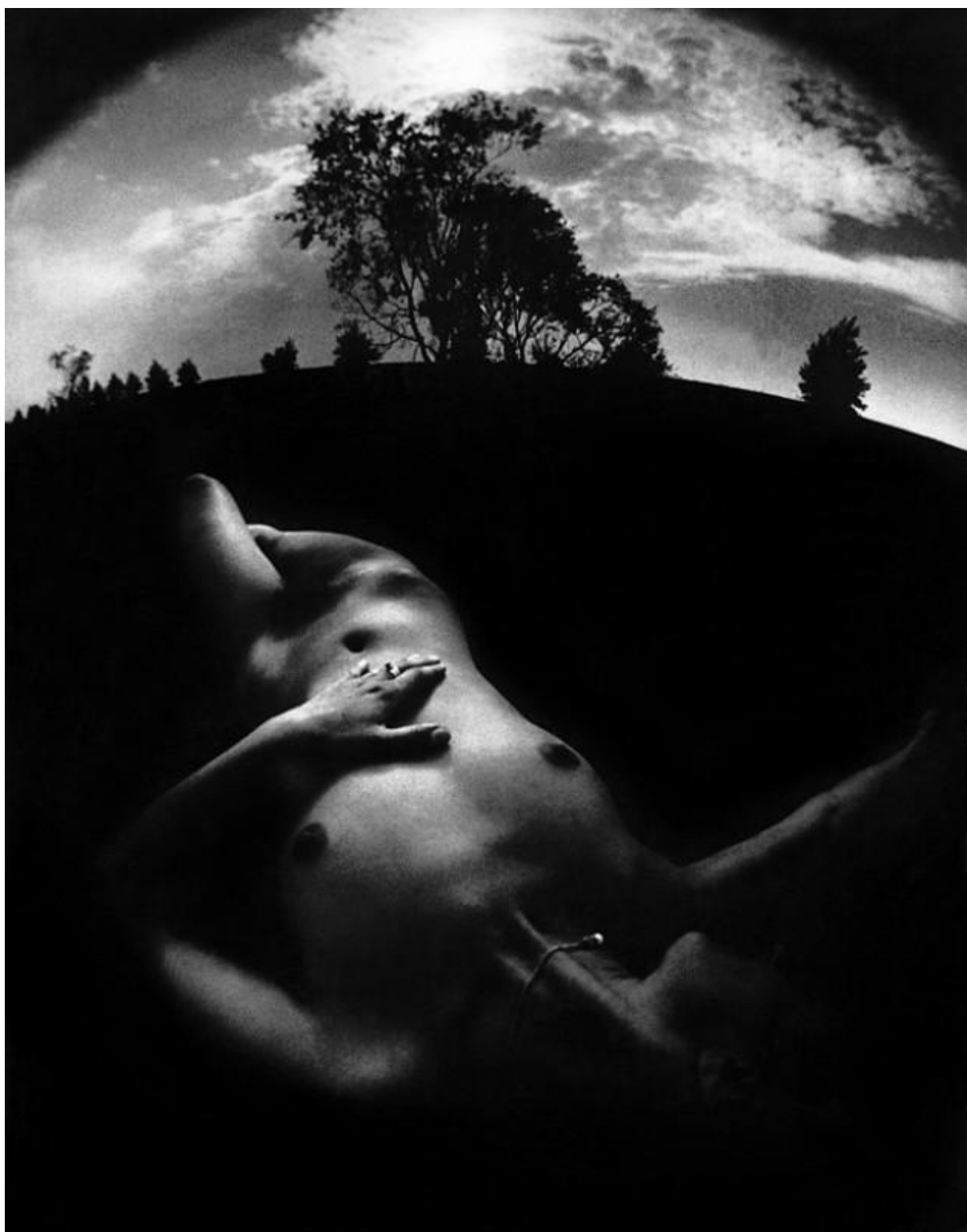


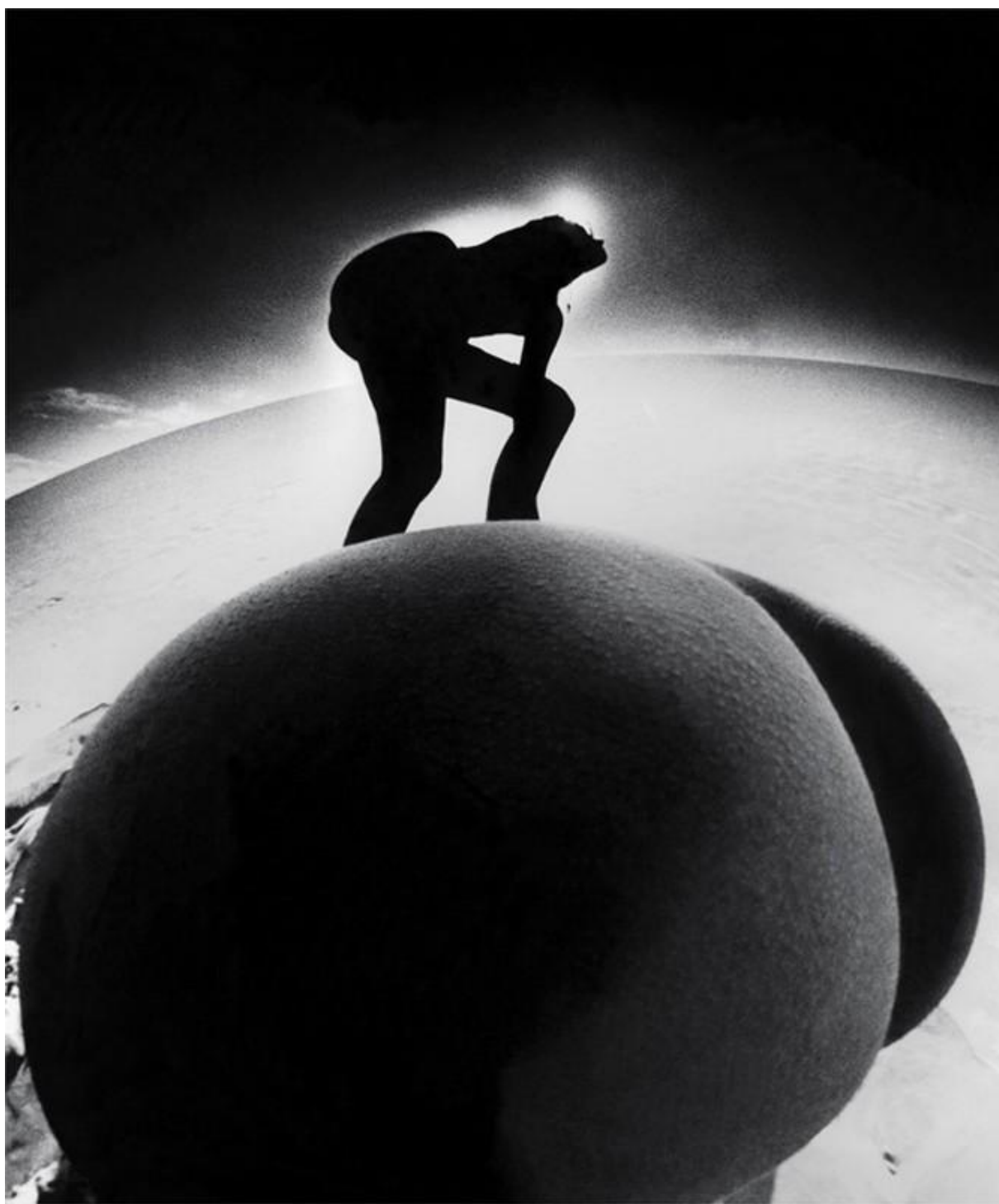






















Andrzeja bardzo brakuje wielu osobom z branży fotograficznej. Ja straciłem wspaniałego kumpla, z którym dużo dyskutowaliśmy o fotografii, ale nigdy o sprzęcie. Przy którym nauczyłem się zbierać grzyby. Brakuje mi jego wspaniałego humoru i tekstów typu: „chodź, idziemy walnąć jakieś arcydziełko”. Przy kolacji padało zawsze pytanie: „ile dzisiaj popelniłeś arcydziełek, bo ja (i tu padała cyfra)”. Na jednym z plenerów aktowych, na który byliśmy zaproszeni, wpada Andrzej do mojego pokoju mówiąc: „bierz sprzęt, jest nowa modelka z pewnością coś stworzysz”. Wziąłem sprzęt, poszedłem za Andrzejem i ujrzałem modelkę monstrualnych rozmiarów. Odpuściłem sobie fotografowanie, bo nie miałem na nią pomysłu, mówiąc do Andrzeja: „Krynicky, ja jestem twórcą, a nie stwórcą”. Wiele mieliśmy wspólnych przygód. Może będzie jeszcze okazja coś opisać.

Ktoś, kto żył i fotografował w tamtym okresie, a nie znał Andrzeja osobiście, bardzo dużo stracił, a tego już się nie da nadrobić.